

Rozdział I

„*T*ak doskonały,
że aż przerysowany”.

*Język Dzienników jako tworzywo dzieła literackiego*⁴

Zgodziwszy się z tymi badaczami, którzy określają *Dzienniki* Marii Dąbrowskiej jako dzieło jej życia, należy spytać, czy były one pisane – a w pewnych partiach także konstruowane – świadomie, z przekonaniem, że będzie ono niegdyś poddane osądowi czytelników. Wskazówką, że tak być mogło, jest choćby to, że autorka do końca życia przepisywała dziennik na maszynie, nieco kompresując pewne fragmenty, do czego sama się w swoich zapiskach przyznawała. Zapewne też w jakimś (choć jednak chyba niewielkim) stopniu „uładzała” je językowo (to także można wywnioskować z zapisów dziennikowych). Założenie, że Maria Dąbrowska liczyła się z możliwością opublikowania

⁴ Pierwsza wersja szkicu została opublikowana w postaci artykułu: Andrzej Markowski, *O języku dziennika Marii Dąbrowskiej*, „Kultura i Społeczeństwo” 2008, nr 1.

swojego dziennika, a nawet na nie liczyła, pozwala traktować maszynopis jako podstawę analizy języka pisarki. Jeśli bowiem nawet jest to język w jakimś stopniu uładzony w stosunku do języka rękopisu, to należy przyjąć, że Dąbrowska chciała, by właśnie w tej formie trafił on do przyszłego czytelnika.

Wyraźnie z myślą o przyszłych czytelnikach są pisane fragmenty o charakterze pamiętnika. W roku 1943, kiedy Dąbrowska przepisywała dziennik okresu pierwszej wojny światowej i dwudziestolecia międzywojennego, uznała za stosowne dać obszernie, liczące łącznie niemal sto stron, uzupełnienia dziennika z lat 1917–1935. Z fragmentami o charakterze pamiętnika mamy zresztą do czynienia również w dzienniku z lat następujących, kiedy to czasem po kilkutygodniowej, a nawet kilkumiesięcznej przerwie autorka zdaje relację z wydarzeń tych tygodni czy miesięcy, w których nie robiła codziennych notatek.

Skoro zaś można przyjąć, że autorka co najmniej liczyła się z możliwością opublikowania swojego dziennika (choć uzasadniona jest również teza, że w ogóle pisała tekst z założeniem, iż zostanie on opublikowany po jej śmierci), to sensowne staje się pytanie o to, w jakim stopniu świadomie kształtowała język tego dzieła. Warto zatem zbadać, w jakiej mierze Dąbrowska posługiwała się językiem celowo tak, by skutecznie przekazać określone treści, w jakim zaś stopniu było to pisanie spontaniczne, niekontrolowane pod względem używanych środków językowych i stylistycznych.

Sprawa ta wbrew pozorom nie jest bowiem marginalna: dotyczy warsztatu pisarskiego twórcy literatury niefabularnej, ale jednak komponowanej, na przykład szukania odpowiedzi na pytanie o to, jak osiągnąć „kontrolowaną spontaniczność” języka *Dzienników*. W dużym uproszczeniu chodzi o to, jak (na)pisać dziennik, aby świadomie za pomocą języka kreować pewną wizję opisywanej rzeczywistości (w tym swoją pozycję

i swoje sądy w tym opisie), tak by czytelnik był przekonany o naturalności, spontaniczności przekazu, a w rezultacie – ulegał owej autorskiej wersji oceny rzeczywistości. Mielibyśmy wówczas do czynienia z ukrytą funkcją impresywną (perswazyjną) tekstu, przekazaną w formie wskazującej „na zewnątrz” na jego funkcję informacyjną (komunikatywną). Zadaniem badacza jest ukazanie mechanizmów tego zabiegu i zakresu osiągniętych rezultatów.

Zejdźmy do poziomu szczegółu. W notatce z 29 stycznia 1951 roku Dąbrowska pisze między innymi:

W Pałacu Staszycza⁵ ciągle remont, prawie nie widać, żeby się coś naprzód posunęło. Zebranie w mniejszej sali „kolumnowej”, tłok nieprawdopodobny, zauważyłam bardzo dużo młodzieży. Jest więc jeszcze taka młodzież, co przychodzi na Borowego. Pierwsze rzędy krzeseł stały w pobliżu ogromnej wielkości krągłego mahoniowego stołu, przy którym – krzesła dla prezydium. Z tego rzędu zauważyła mnie Małyniczówna i wykiwała z kąta przy drzwiach. Ponieważ zapraszał mnie i któryś z profesorów – przecisnęłam się ku nim. Po drodze minęłam ospałą figurę Żółkiewskiego, który zatruł swoimi napaściami ostatnie lata życia Borowego, a potem zasiadł swą tłustą dupą na katedrze tego wielkiego uczonego.

To, że przyjaciółka pisarki, aktorka Zofia Małynicz, *wykiwała* Dąbrowską *z kąta przy drzwiach*, a więc kiwaniem przywołała ją do siebie, jest niewątpliwie zapisem spontanicznym. Dąbrowska zapisała takie sformułowanie, gdyż było ono w jej idiolekcie, a w podobnym znaczeniu występowało także w polszczyźnie XIX i pierwszej połowy XX wieku. W słowniku

⁵ W cytatach pozostawiam oryginalną pisownię Marii Dąbrowskiej.

warszawskim⁶ czytamy: *wykiwać* [...] *wykiwnąć* ‘kiwaniem, kiwnięciem wyruszyć z miejsca’.

Czy natomiast zupełnie spontaniczna jest językowa charakterystyka Stefana Żółkiewskiego – nad tym należy się zastanowić. Można bowiem przyjmować, że jest to zapis wynikający z niechęci do tej postaci i o niczym innym nieświadczący, może być jednak i tak, że podkreślenie jednej cechy fizycznej naukowca, i to za pomocą dosadnego określenia (*tlusta dupa*), ma świadomie budować ocenę tej postaci nie tylko w oczach autorki, lecz także u czytelnika. To, która interpretacja jest właściwa, będzie można stwierdzić dopiero po zestawieniu analogicznych sformułowań w innych zapisach *Dzienników*, dotyczących postaci z kręgu ówczesnego establishmentu, zwłaszcza zaś – aparatu partyjnego.

Pytanie o zasięg i stopień (czyli: w jakiej mierze i do jakiej „głębokości” organizacji wewnętrznej środków językowych) świadomego i celowego używania języka w *Dziennikach* Dąbrowskiej narzuca się już przy pierwszej lekturze tekstu, a pogłębia przy czytaniu powtórnym i kolejnych odczytaniach choćby tylko fragmentów dzieła. Otóż uderza – a dotyczy to zwłaszcza partii dziennika od lat pięćdziesiątych XX wieku – dobre, czasem doskonałe zharmonizowanie języka z przekazywanymi treściami.

Dąbrowska stosuje różnorodne formy podawcze (co zostanie jeszcze zegzemplifikowane), a do każdej z nich dobiera środki językowe tak, że język fragmentów określonego rodzaju staje się „przezroczysty”, chyba że autorka sama celowo zwraca na niego uwagę (na przykład stosując przestarzałe już dla niej środki językowe, czyli obsolety, albo używając określeń zawierających dosadne słowa czy związki frazeologiczne).

⁶ Jan Karłowicz, Adam Kryński, Władysław Niedźwiedzki, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1901–1927.

Można także dostrzec doskonalenie się języka *Dzienników*, a analiza tego zjawiska (tu zostanie ono tylko zasygnalizowane) powinna stanowić przedmiot oddzielnego studium językowo-stylistycznego. Swoboda językowa, widoczna w partiach powstałych w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku, a zwłaszcza w zapisach powojennych, sprzyjająca potoczności, płynności tekstu, każe się zastanowić nad wpływem języka utworów fabularnych (tu przede wszystkim *Nocy i dni*) na język *Dzienników*, choćby w kontekście kształtowania sprawności narracji. Poza tym – jak wiadomo – Maria Dąbrowska uważała, że jej ważnym wkładem w literaturę polską jest odświeżenie języka: „Mnie się zdawało, że ja wynalazłam dwie rzeczy: specjalne używanie potocznego języka i żywość postaci sympatycznych – ludzi dobrych” [8 XII 1958]. Nie będzie więc nieuprawomocniona teza, że *specjalne używanie języka*, nie tylko potocznego, było zamierzeniem twórczyni kolejnych kart dziennika.

Być może zresztą nie było tak od początku. Język zapisków, tak jak i sposób zapisywania wydarzeń i rozmyślań, zmienia się bowiem dość znacznie od roku 1914 (pierwsze notatki) do połowy lat sześćdziesiątych XX wieku. Można przyjąć, że zapisy z lat pierwszej wojny światowej i chyba gdzieś do połowy lat dwudziestych (z pewnymi wyjątkami – na przykład szczególnie rozbudowanym zapisem z 16 listopada 1916 roku na temat pobytu Józefa Piłsudskiego w Lublinie) są spontaniczne, a ich forma językowa, choć adekwatna do treści, nie jest zawczasu przemyślana. Są to z zasady notatki z codziennych wydarzeń, przybierające często formę równoważników zdań, wypełnione słownictwem codziennym, bytowym:

Niedziela. Trzeci dzień mobilizacji. Odjazd Żandarmów. Ostatnie pociągi. Grabież magazynów kolejowych. O 4-tej rano wysadzanie

minami weksla, wodociągów i wiaduktu. Rano kręcą się kozacy, jeden szuka jenerała na podwórzu w Sabinowie. [2 VIII 1914]

Wtorek. Dzień pamiętny. O piątej Władek (podwórzowy) przyszedł budzić, że blisko strzelają. W istocie wyraźnie strzały słychać ze wszystkich stron do 4-tej popołudniu. Zaczęła się wielka bitwa na froncie Częstochowa-Kraków. Cały dzień drobny deszcz. [17 XI 1914]

Piątek. Marjan zaziębiony leży. Zbliża się odwilż. Rano było dwu austriackich oficerów po świni i kury. Nie dostali nic, a jak się potem okazało, byli bezprawnie. Wzięli krowę i świnię chłopom na Dzbowie. Niemiecka żandarmerja wdrożyła śledztwo. [12 III 1915]

Zupełnie innym stylem są opisywane wydarzenia z tego samego okresu, ale spisane ćwierć wieku później (w roku 1943) jako uzupełnienie pamiętnikarskie podczas przepisywania dziennika. Tu mamy już świadomy kształt stylistyczny wypowiedzi, tekst ujęty w rozbudowane zdania, z wyraźnymi elementami oceniającymi:

Aby zakończyć ostatecznie z notatkami raptularzyka sierpień-marzec 1914-15 opiszę jeszcze moją podróż ku Warszawie w październiku 1914-go roku.

Odnosi się to do tego mojego wyjazdu z Sabinowa, który p. Białkowski zanotował pod datą 10 października. Wyjazd nastąpił niespodzianie, gdyż początkowo Marjan ani słyszeć nie chciał, bym narażała się na tę ryzykowną podróż, mimo że z Warszawy do Częstochowy przybyłam bez szwanku i bez żadnego narażania się [...]. Chociaż z różnych względów miałam chęć powrócić do Warszawy, ale jeszcze bardziej pragnęłam pozostać z Marjanem, te też [sic] uległam w końcu jego perswazjom. Wytworzyły

się jednak okoliczności, które zmieniły postawę Marjana wobec sprawy mojego wyjazdu. Mianowicie ob. Aleksandra Szczerbińska (późniejsza Piłsudska) zwróciła się do niego z wiadomością, że z rozkazu Komendanta trzeba natychmiast z pewnymi zleceniami wyruszyć do Warszawy. Jadą już w tym celu dwie inne „niewiasty”, ale że przejście frontu nie jest już teraz takie łatwe – należy dla pewności wysłać trzecią. Ponieważ Marjan wspominał jej był, że ja się wybieram do Warszawy, zapytała, czy bym [dwa słowa skreślone] nie przyjęła tego zlecenia. Pojmowaliśmy wtedy naszą służbę bardzo serjo, a choć ja zawsze i wszędzie byłam tylko „luzakiem” i dyletantem, przecie chciałam się do czegoś przydać, a dla Marjana rozkaz Komendanta był świętym. To też zakomunikował mi życzenie p. Aleksandry, ja natychmiast i bez wahania się zgodziłam, a on nie śmiał się już sprzeciwiać. Dla zapoznania się z t.zw. obywatelką Olą, spotkaliśmy się z nią w cukierni w Częstochowie. O rzeczy właściwej wtedy się jednak nie mówiło, była w tej cukierni i Zośka Poniatowska i wtedy to powzięła swe zabawne uczucie zazdrości o domniemaną konieczność zakochania się p. Juliusza w nieznaną mu zupełnie pani Oli. Co do mnie, choć z wyglądu p. Ola mi się raczej podobała, [kilka słów skreślonych] nużyła mnie trochę jej słaba ekspresja słowna i zastępowanie brakujących zwrotów często powtarzanym słówkiem „wicie... wicie”. [Dodatek do raptularzyka 1914–1915]

Można zaobserwować w tym fragmencie używanie elementów stylu starannego obok wyrazów potocznych i zawodowych (z gwary konspiracyjnej). Mamy więc z jednej strony wypracowane językowo zdania takie jak:

Chociaż z różnych względów miałam chęć powrócić do Warszawy, ale jeszcze bardziej pragnęłam pozostać z Marjanem, te też

[sic] uległam w końcu jego perswazjom. Wytworzyły się jednak okoliczności, które zmieniły postawę Marjana wobec sprawy mojego wyjazdu.

Z drugiej strony pojawiają się określenia (ujęte wprawdzie w cudzysłów lub poprzedzone skrótem *tzw.*): *byłam tylko „luźnikiem” i dyletantem* oraz *dla zapoznania się z t.zw. obywatelką Olą* czy potoczna forma imienia przyjaciółki: *Zoska (Poniatowska)*.

Zapisy z pierwszej połowy lat dwudziestych są już bardziej rozbudowane, zawierają elementy oceniające i wartościujące. Opisom rzeczywistości zewnętrznej towarzyszą relacje ze stanów i przeżyć wewnętrznych, a także rozważania filozoficzne. Zdania, nie bardzo długie, są jednak w manierze zbliżone do języka utworów młodopolskich, przypominają styl Żeromskiego:

Wrażenie z jazdy na pociąg w Białymstoku, kiedy wracałam od Jadzi i Mamusi. Miasto zanurzone w mokrej ciemności jak w atramencie. Domy zamazane wilgotną czernią miały fronty wysunięte pod światło latarni jak wycinanki zielone, żółte, białe. Biały mur cementarza, świetliciejąca po nocy szeroka polska brama. Dalej jechało się nad torami, pełnymi zwrotnic, skropionych różnobarwnymi latarenkami. [3 I 1923]

Byłam w Łazienkach w śnieg. Na krzakach chłapanięcia białej piany śniegu. Gałęzie w białej otoce. Badyle w krezach szronu. Popielata gmatwanina gałęzi, jak splątane ciemne nici. Mętne opalizujące mgły. Cisza. Z za ogrodu miasto hałasuje takim szelestem jak rzeka pełna kry. [11 II 1923]

Najwykleszi ludzie mają intymne talenty, które zabłyskują tylko dla najbliższych i gasną potym dla wszystkich. W towarzy-

stwie Matki i rodzeństwa umiem ładnie śpiewać, miło i czarująco opowiadać...

Moim nieszczęściem jest, że nigdy nie jestem zupełnie pewna, czy w każdym wypadku postąpiłam tak, jak właśnie było trzeba. Tysiące możliwości, wyborów nasuwa się jako jedyne konieczne rozwiązanie każdego momentu życia. Zazdroszczę ludziom, którzy mają zawsze niezachwianą pewność swego wyboru. Ale cóż, kiedy tę cechę spotykam zawsze u ludzi głupich, niedobrych, oschłych i o bardzo małej wartości. [4 III 1923]

Była pani Marylka Sobańska. Rozmawialiśmy o szczerości. Zagadnienie, które ostatecznie wszystkich nas tak bardzo obchodzi. Do szczerości dojść bardzo trudno, ale gdy się do niej dojdzie, jakże łatwo – łatwiej niż wszystko – można jej nadużyć. Ostatecznie za cenę szczerości można się z góry rozgrzeszyć ze wszystkiego złego, które się robi. To robią Rosjanie. P. Sobańska mówiła wcale nie głupio, że szczerość jest czasem dowodem słabości. Człowiek sam nie może się uporać ze swoim grzechem, ponieść odpowiedzialności. (myślałam to nie jeden raz). [27 III 1923]

Żrenice w białych iskrach od lampy. Życie małżeńskie, tak już sposponowane [sic], przy dzisiejszym ukochaniu codzienności, nabiera nowych blasków świeżego piękna. Radość napadła moje serce w te bure dnię lipca (?), brzmiące hałasem przykraj niepogody. [17 IV 1923]

Przed bólem, rozpaczą, trwogą i zwątpieniem uratowały mnie nie chwile wśród ludzi spędzone, nie chwile tryumfów i powodzenia wśród zgiełku świata, ale chwile mojej płodnej samotności. Nie mam-że jej kochać najbardziej? [19 VIII 1923]

Samotność w pierwszej chwili gorzka jak piołun, szczególnie jeśli nastąpi – jak to było – po zaznaniu wszystkich rozkoszy najśłodszego towarzystwa. Trzeba umieć przełknąć tę pierwszą gorzką chwilę, żeby się w następnych rozsmakować jak w rzadkiej dobrej potrawie. Jak bogatem jest życie, jak cudownym, jak bardzo nas obdarza. Jesień to najukochańsza dla mnie pora roku. Jesienią stały się wszystkie najlepsze rzeczy mojego życia. Tego roku wrzesień dał dwa tygodnie przerozkoszej pogody. W taką jesienną pogodę Polska wygląda jak bogate południe. [23 IX 1923]

Zwracają uwagę liczne przymiotniki, używane przede wszystkim jako leksykalne środki wartościujące (*wilgotna czerń, różnobarwne latarenki, mętne, opalizujące mgły, płodna samotność*) oraz mniej lub bardziej oryginalne porównania (*miasto zanurzone w mokrej ciemności jak w atramencie, fronty wysunięte pod światło latarni jak wycinanki zielone, żółte, białe; samotność w pierwszej chwili gorzka jak piołun*) i metafory (*biała piana śniegu; radość napadła moje serce w te bure dni*), a nawet pytanie retoryczne w stylu młodopolskim (*Nie mam-że jej kochać najbardziej?*). Poznanie języka wczesnych zapisków Dąbrowskiej i skonfrontowanie go z polszczyzną dziennika lat dojrzałych pozwala poznać ewolucję stylu pisarki i w pełni docenić tę formę językową, do której już wkrótce dojdzie autorka *Nocy i dni*.

Ewolucję języka opisującego wydarzenia ekstremalne w życiu pisarki, języka oddającego największe emocje, widać też doskonale w zapisach – za każdym razem dokonanych w kilka miesięcy po opisywanych faktach – mających za przedmiot opis rozpaczy po utracie męża Mariana (1925) i opis śmierci wieloletniego towarzysza życia Stanisława Stempowskiego (1952). Zapisy dotyczące pierwszej tragedii są bardzo ekspresywne, pojawiają się w kilkunastu wpisach dziennych: